

Eleonora Duse w 10-lecie zgonu wielkiej tragiczki

W małym miasteczku włoskim, Asolo, położonym niemal u stóp Monte Grappa, potężnego masywu górskiego w prowincji weneckiej, odbyło się niedawno otwarcie wystawy pamiątek po Eleonorze Duse, największej tragiczce współczesnych Włoch, a jednej z największych artystek całego świata.

Wystawa urządzona w miejskim muzeum, obejmuje stosunkowo niewielkie przedmioty, stanowiące niegdyś własność zmarłej przed dziesięciu laty artystki; przedewszystkiem wspaniałe jej portrety, pedzła Fr. Lenbacha, dalej szeregi autografów, medali, dyplomów, — oraz resztki jej wspaniałej biblioteki, z ulubionymi autorami Szekspirem i Ibsenem na czele.

W Asolo też, zgodnie z jej życzeniem, znalazła Eleonora Duse wieczny spoczynek, po swym długim życiu, obfitującym zarówno w tryumfy jak i w bolesne, ciężkie przeżycia.

Życie to było naprawdę „cygańskie”. Urodzona w Wenecji, już w najmłodszym dzieciństwie zetknęła się z nędzą i niedostatkiem, wędrując z prowincjonalną trupą aktorską (w skład której wchodziła jej rodzica) z miejsca na miejsce, spełniając najprostsze posługi, przymierając nieraz głodem.

Patrzy na ciężką chorobę i śmierć swej matki, która umiera w szpitalu w Padwie. Nie było pieniędzy nawet na sprawienie jej przyzwoitego pogrzebu i zakupienie miejsca na cmentarzu, — nie było pieniędzy na zakupno czarnej żałobnej sukienki dla młodej Eleonory, bo brakło ich nieraz nawet na kawałek chleba...

Mała Eleonora sama musi „zarabiać” na swoje utrzymanie: jako sześciolatek występuje już na scenie, otrzymując... jedną lirę za wieczór.

Takie było jej dzieciństwo, — a wspomnienia te i wrażenia przeżyte wycisnęły niezatarte piętno na jej całym życiu. I dlatego też może potrafiła Duse tak szczerze, wnikliwie i suggestywnie interpretować w swych kreacjach przedewszystkiem ból i cierpienie, dlatego w oczach jej malowało się jakieś smętne zapatrzenie się w zaświaty.

Właściwą swą wielką karierę artystyczną rozpoczęła w czternastym roku życia, kiedy zaangażował ją do swej trupy znany aktor Cesare Rossi.

Duse wybija się szybko na pierwsze miejsce, — rozpoczyna się dla niej okres tryumfów i sławy, rosnącej z każdym rokiem.

Z własną już trupą objeżdża wszystkie stolice europejskie, wszędzie wita na entuzjastycznie, obsypywana kwiatami i podarunkami. Ale nie umie liczyć się z groszem. Fantastyczna, nieobliczalna, nieraz w ostatniej chwili odwołuje zapowiedziane występy, placąc bez wahania wysokie odszkodowanie, placąc należne gaże całej swej trupie,

skazanej przez to na przymusową bezczynność.

Mimo wszystko jednak wkrótce staje się bogatą, posiada bezcenne klejnoty, wspaniałą bibliotekę, własny dom we Florencji, drugi mały domek w Settignano, w sąsiedztwie willi Gabriela d'Annunzio, tego, który w życiu jej odegrał tak ważną rolę...

Posiada duży majątek, ulokowany u jej przyjaciela, bankiera berlińskiego R. Mendelsohna.

Ale przychodzi wielka wojna. Mendelsohn umiera, a wszystkie oszczędności Eleonory, ulokowane w jego banku ulegają zupełnej dewaluacji.

Duse, która w czasie wojny opiekowała się gorąco żołnierzami na froncie i nie szczędziła na ten cel ogromnych ofiar, — staje znowu na progu ruiny i nędzy.

I jako sześćdziesięcioletnia kobieta wraca znów na scenę, wraca do pracy, zmuszona do tego okolicznościami.

W dniu 5 maja 1921 występuje znów w Turynie jako „Pani morza”. Zapada jednak coraz częściej na zdrowiu, dokucza jej astma i bóle nerwowe. Mimo to decyduje się na podróż do Ameryki.

— Chora jestem, — żali się przed swym impresariem Paradossim, — ale liczę na to, że w Ameryce zarobię dosyć, bym mogła wrócić do Asolo i tam umrzeć“.

W Ameryce zbiera niestłuchane sukcesy i objeżdża Nowy Jork, Baltimore, Waszyngton, Filadelfję, Hawannę, San Francisco...

Wreszcie przybywa do Pittsburga. Ma grać w sztuce „La porta chiusa”. Wśród ulewnego deszczu zajeżdża o 6,30 autem pod gmach teatru. Szybko

wysiada z auta, podbiega do bramy: zamknięta!

Po kilku minutach dopiero sekretarz jej znalazł portjera, który otworzył bramę przed przemocniętą, trzęsącą się z zimna artystką. Duse odegrała swą rolę — nazajutrz jednak już nie mogła podźwignąć się z łóżka.

I zaczęły się ciężkie, smutne dni w ciągu których gasło jej życie, — aż wreszcie 21 kwietnia 1924 nad ranem zamknęła oczy na sen wieczny.

W pół godziny potem zwłoki wielkiej artystki wyniesiono tylną bramą z hotelu, gdzie mieszkała, do trupiarni miejskiej, — jak nakazują przepisy policyjne...

Rząd włoski zajął się przewiezieniem jej zwłok do ojczyzny. Popłynęła na okręcie „Duilio”, w trumnie okrytej trójkolorowym sztandarem, popłynęła, by spocząć nareszcie po swym burzliwym życiu prawdziwego nomady, na małym cmentarzyku w Asolo, u stóp pamiętnej dla Włochów góry, „Monte Grappa”. (N.)

Pierwsze zwycięstwo admirała Togo

Zmarły niedawno zwycięzca z pod Cuszimy, urodził się jako syn samuraja w roku 1847. Z wojną zapoznał się, mając lat 14 w wojsku księcia Satoumy, feudalnego władcy jednej z prowincji japońskich. Były to czasy burzliwe i do stojnicy państwowej nie ruszali się bez licznej gwardji. Gdy Satouma podróżował z Jokohamy do Jedo (dzisiejszego Tokio), trzech brytyjczyków poddani, nie usłuchawszy zakazu, chcieli przedrzeć się przez szeregi jego gwardji przybocznej. Dano do nich ognia i jeden padł trupem. W Brytanja skorzystała z pozoru, aby rozpocząć kroki nieprzyjacielskie i zbombardowała Kagoszimę, rodzinne miasto Toga. W gruncie rzeczy szło nie o zadośćuczynienie, ale o traktat handlowy, który też rzeczywiście wymuszono. Te wspomnienia nie mogły budzić w nim sympatii do Anglików. Mimo to młody Japończyk, który pragnął zostać marynarzem, marzył o odbyciu wyszkolenia na flocie angielskiej.

Upokorzenie i krzywda, jakich Japonia doznała w roku 1861, stały się początkiem jej wielkości, gdyż okazały konieczność reform. Zniesiono szogunat (tj. dziedziczość stanowiska pierwszego ministra, w którego rękach cesarz był marionetką), zmieniono ustrój państwa, znosząc władzę feudalnych magnatów i zaczęto wzorować się na Europie. W roku 1863 Togo, wychowany nad morzem służył na okręcie wojennym księcia Satoumy. W pięć lat później był już marynarzem cesarskim.

W roku 1871 spełniono jego gorące prośby i wysłano go na naukę do Anglii. Lat sześć zgorą spędził na szkolnym okręcie Worcester, odbył podróż do Australii i z powrotem, poczem przez rok jeszcze słuchał wykładów w Green

wich.

Wróciwszy do ojczyzny w roku 1878 wziął się do dzieła modernizacji floty, którą oparto na wzorach angielskich. Później sprowadzono nawet do pomocy specjalną misję angielską.

W chwili wybuchu wojny japońsko-chińskiej w roku 1894 Togo dowodził krążownikiem Naniwa. Przyczyną konfliktu była Korea, gdzie zaszły krwawe zamieszki. Japonia zażądała od Chin wspólnego wystąpienia, ażeby przywrócić tam porządek. Chiny odmówiły, a wówczas Japonia przeprowadziła sama reformę, zupełnie uzależniając od siebie Koreę. Na groźbę wysłania wojsk, odpowiedziano Pekinowi z Tokio, że byłby to casus belli. Mimo to Chińczycy wyprawili na Koreę 1.200 żołnierzy. Płynęli oni na angielskim statku Kowshing, którego komendantem był kapitan Galsworthy, kolega Toga z pokładu Worcester. Ekspedycji towarzyszył także niemiecki major von Hanneken, instruktor armji chińskiej, i kilku Europejczyków. Nad bezpieczeństwem statku transportowego czuwały trzy chińskie krążowniki.

Togo znał tylko precedensy dyplomatyczne, ale nie miał rozkazu wszczęcia kroków wojennych. Wezwał jednak Kowshing do poddania się. Gdy odmówiono, zażądał od wszystkich nie Chińczyków opuszczenia statku, dając bardzo krótki czas do wykonania tego życzenia. W tym momencie właśnie toczyła się w kajucie żywa dyskusja między komendantem chińskiego oddziału a Hannekenem, który przedstawiał mu bezowocność oporu. Chińczyk nie chciał słyszeć o kapitulacji — i w chwili, gdy uzasadniał obszernie swe stanowisko, kula armatnia urwała mu głowę. Przedziurawiony w kilku miejscach transportowiec zaczął tonąć. Von

Hanneken jednak, silny mężczyzna i dobry pływak, wydostał się na pokład i w czas skoczył do morza. Uratował się na jedną z wysepek koreańskich, odbywszy tak długą drogę, że doznał zupełnego wyczerpania — znalazł go nieprzytomnego. Zdołał uwiadomić, co zaszło, konsula niemieckiego w Czufu, i dostał się do Chin, aby jeszcze brać udział w wojnie i walczyć z Togiem nad Jalu.

Tymczasem walka rozstrzygnęła się Gorzej wykwapowane krążowniki chińskie poniosły znaczne uszkodzenia i uszły, pozostawiając transportowiec własnemu losowi. Poszedł on na dno. Japończycy ratowali tonących, ale znaczna ich część wołała śmierć w falach od niewoli. Powiedziano im, że Japończycy zabijają jeńców wśród najwyszukiwanych tortur.

Samoistna akcja Toga, która dała początek wojnie, wywołała z wielu stron surową krytykę. Atoli mikado uznał, że włożył tak należało postąpić i po zakończeniu wojny mianował go kontradmirałem, nadając mu równocześnie order Złotego Sępa. Był to początek świetnej kariery, której kulminacyjnym punktem było sławne zwycięstwo pod Cuszimą — w największej bitwie morskiej od czasu Trafalgaru. Jak wiadomo, stanowiła ona ostatni z ciosów, zadanych Rosji w wojnie z Japonją i zmusiła cara do rokowań pokojowych.

Togo odznaczał się nadzwyczajną skromnością. Podobno angielski order zasługi, otrzymany od Edwarda VII. nosił zawsze tak, aby nie było widać słowa „zasługa”. Świetny strateg i taktik, umiał odgadnąć plany nieprzyjacielskie, poprostu z mechaniczną ścisłością — co okazało się także w rozprawie z Rozdwiestwieńskim. Dla marynarzy japońskich był prawdziwym ojcem i doznawał od nich nieledwie ubóstwienia. Znał doskonale historję wojen morskich, szczególnie studiował bitwy Nelsona. J. S.

Podhalańskie łyżniki

Do niedawna jeszcze należały łyżniki do niezbędnych sprzętów w chałupie podhalańskiej. Zajmowały one poczesne miejsce na ścianie działowej przy drzwiach izby, w sąsiedztwie szafki lub półeczki z naczyniem kuchennym.

W zamożniejszych domach bywało ich nawet po kilka, świadcząc o dostatku gospodyni, która posiadała znaczącą ilość łyżek.

Matlakowski w swoim „Zdobieniu i sprzęcie ludu polskiego na Podhalu” podaje kilkadziesiąt rysunków przeróżnych łyżników, zaznaczając, że „jest to zaledwie cząstka łyżników widzianych przezeń”. (rok 1895).

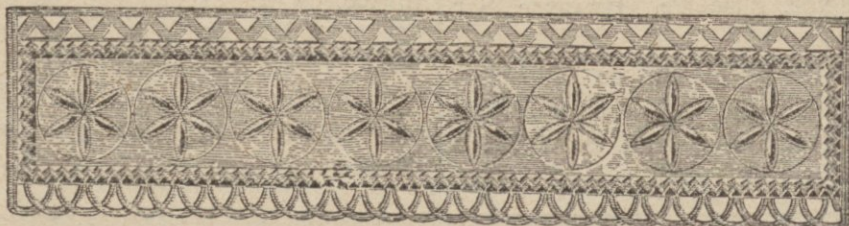


Z chwilą jednak, gdy Zakopane i Podhale stało się „modne”, — rozpoczęło się masowe wykupywanie sprzętu gór-

ze sobą jakąś pamiątkę, czy przez handlarzy i spekulantów. I dziś zobaczyć je można tylko albo w muzeach, albo w zbiorach prywatnych, rozrzuconych po całej Polsce.

Niema ich tylko na Podhalu, niema w izbach góralskich, gdzie miejsce ich zajęła fabryczna tandeta. Bo i komuż chciałoby się ślepczeć długie tygodnie a nieraz i miesiące nad wyrzeźnianiem takiego łyżnika? Gdzie szukać tych uniwersalnych samouków („medyków”, jak ich nazywano żartobliwie), co to w wolnych chwilach potrafił i zegarek naprawić i stolki misternie wyrzeźbić i siekierę niezgorszą zmaistrować i figurę świętą wyrzezać?

Wyrabiano ongi łyżniki na całym Podhalu, przystajając je w oryginalne, zazwyczaj dość prymitywne, niekiedy



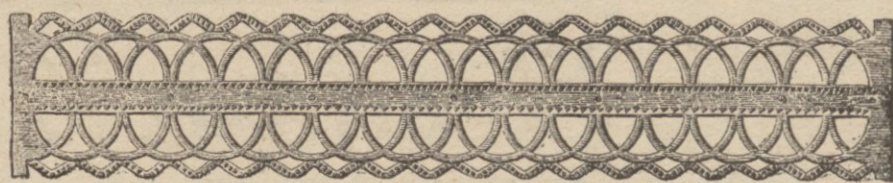
ralskiego, a zwłaszcza łyżników przez turystów pragnących koniecznie uwieść

jednak i bardzo misterne ornamenty. Zasadniczo łyżnik składał się z 3-ech

części: osadki, tarczy i wieszadeł. Osadka opatrzona była w szereg otworów okrągłych lub prostokątnych, umieszczanych w jednym lub w dwóch rzędach, do których wkładało się łyżki

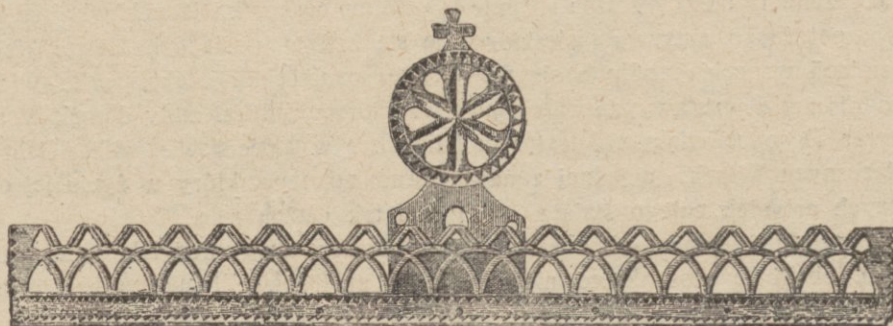
po ich obmyciu. Tarcza zdobiona była bogato, w rozmaite motywy ornamentacyjne, przyczem najczęściej spotyka się

wo, jakie było pod ręką: grusza, jabłoń, jawor, buczyna, wierzby aż do ciemnoczerwonego cisu. Najpiękniejsze i najrzadsze okazy wyrobione są w całości z jednego kawałka drzewa, dając wyobrażenie o niesłychanej cierpliwości i staranności artysty, zwłaszcza skoro się uwzględni, że „drzewiej mało to



długo miał, ino siekierę a nóż”, jak mówią górale.

Zazwyczaj nie były one malowane.



sześcioramienne gwiazdy cyrkłowe, a dalej motywy roślinne (kwiaty, „leluje”, widłaki, świerki itp.), a wreszcie motywy geometryczne.

Z reguły posiada też każdy łyżnik ozdobne wieszadło w kształcie kółka, krzyżyka, kapliczki, umieszczone w samym środku. Najdawniejsze typy wyrabiane były bez wieszadła, — przybijało się je poprostu z obu boków gwoździami do ściany.

Do wyrobu łyżników brało się drze-

lec zachowywały barwę naturalnego drzewa. Trafiały się okazy inkrustowane ciemniejszym drzewem, co prawda w sposób dość prymitywny. Tak np. przewiercano świderek otwory na wylot, wbijając następnie w te otwory odpowiednio dopasowane kołeczki cisowe, które potem przycinano narówni z deską.

Ciekawy zbiór tych łyżników znajduje się w Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem. (kr.)

„Ike” (czyli Icek) Hoover

(Biografia amerykańska)

„Ike” bo to po angielsku, a Hoover z powodu kultu dla b. prez. Hoovera. Urodził się i ochrzczono go Izraelem Henrykiem Ehrenfeldem, wtedy, kiedy jeszcze był zbyt mały, aby móc przeciw temu protestować. Rodzice nie mogli zaś przewidzieć, iż z tem imieniem nie będzie mu do twarzy. Może pragnęli, aby został wielkim kupcem na wzór dziadów i pradziadów? Jedno jest pewne: nie spodziewali się po swym synu rodzonym takich wysokich i tradycją nieuzasadnionych aspiracji. Nie dotarł Ike Hoover do stratosfery, ani nie ma podobnych zamiarów. Niestety wciąż bawi na ziemi i cieszy się dobrem zdrowiem oraz miłym powodzeniem.

Debiut swój Mr. „Ike” Hoover zawdzięcza gazetce, choć nigdy nie był roznosicielem gazet. Jest absolwentem uniwersytetu, a majątku nie dorobił się na giełdzie, tylko szedł śladem takich cudzoziemców, Europejczyków jak Shakespeara i Dickensa. Pracuje piórem. Patriotyzmem toruje sobie drogę.

Bynajmniej nie idzie śladem publicystów hitlerowskich. Nie prowadzi propagandy anty-żydowskiej, (ani mu się śni), zato propagandę anty-europejską, przeciw poszczególnym narodowościom.

Argumenty „Ike” Hoovera są silne. Nie darmo zdobył on w roku 1927 pierwszą nagrodę Williama Hearsta w wysokości pięćset dolarów, za najlepsze uzasadnienie, „dlaczego nie powinniśmy mieszać się do Ligi Narodów”. Od tej chwili zwrócił na siebie uwagę. Mawiał w klubach politycznych, na „All American America” bankietach, i wszyscy mówili o nim, że jest to „an enterprising young fellow” (przedsiębiorczy mło-

dzieniec).

Wymowę miał niby srebrno-głosy orator Henry Clay. Mawiał z patosem i rozmachem. Wołał: „Precz ze starą Europą”, „Precz z cudzoziemcami”, „Ameryka jest samowystarczalna”. To było dosyć. Zrobił niezły początek. Bardzo się spodobał wielkiemu magnatowi i królowi żółtej prasy, Williamowi Hearstowi. Znajomi Mr. „Ike’a” twierdzą, że wielki (wzrostem też) Mr. Hearst polecił mu tylko przerobić kurs „Test Your Talent” (Wypróbuj swe zdolności) czyli „Learn to write by this easy method in the privacy of your own home” (Ucz się w zaciszu domowym piąć przy pomocy tej łatwej metody).

I rzeczywiście. Dzisiaj pisze Ike Hoover rzeczy nawet b. poważne. Zdobyl w swej ojczyźnie uznanie nie tylko jako literat, ale również jako mecenas sztuk pięknych i zbawca swej ojczyzny. Chce i jedynym jego pragnieniem jest wyswobodzić Amerykę od... cudzoziemców. „Ike” Hoover pisze już od jakiegoś czasu do *Saturday Evening Post*, jest to tygodnik założony przez samego Benjamina Franklina w roku 1728. *The Saturday Evening Post* to prawdziwa amerykańska instytucja, ciesząca się szerokim zbytem tak w Ameryce jak i w Europie. Najlepsze pióra Ameryki piszą do tego tygodnika. Piszą również znienawidzeni przez „Ike” Hoovera cudzoziemcy (Marja, Królowa Rumuńska i Leon Trotsky (Trocki)).

Dnia siódmego kwietnia 1934 na łamach tego poczytnego tygodnika, Mr. „Ike” Hoover dał obfity upust amerykańskiemu patriotyzmowi.

Dostało się Europejczykom - wyzy-

skiwachom amerykańskiej gościnności. Ma się rozumieć, że Mr. Hoover nie szczędził nikogo, nie kępował się niczyją sławą, ani utwierdzoną opinią.

Polski też p. Icek nie ominął. Co za radość dla nas, co za reklama, że doczekaliśmy się wzmianki o naszej ojczyźnie na łamach tak poczytnego pisma!

Niema co, znalazł sobie Mr. Hoover oryginalną misję. Może odziedziczył ją po swym krewniakowi Tommy Litingerze z Chicago. Obaj ci panowie darzą nas specjalną antypatią. Twierdzą, że mają ku temu powody.

Otóż w 41 numerze *Saturday Evening Post*, atakując europejskich wyzykiwaczy p. Icek po portrecie De Lazo (z którym obszedł się po tyrańsku), z kolei bierze się do... Paderewskiego i pisze tak: „To samo można powiedzieć i o Paderewskim. Przyjechał do Ameryki w tym niby celu, aby złożyć Ameryce podziękowanie za to, co Ameryka zrobiła dla Polski przed i po wojnie. Był podejmowany w Białym Domu przez Prezydenta i Panią Hoover, którzy jego koncertom patronowali. Paderewski dał też dwa koncerty na rzecz bezrobotnych. Korzystając z tej reklamy, robi potem tournée koncertowe po jakich pięćdziesięciu miastach, lecz już nie na rzecz bezrobotnych. Licząc od dwóch do trzech tysięcy dolarów za każdy koncert. Po dwóch miesiącach Paderewski wraca do domu — znów z drugą ćwiercią miliona amerykańskich dolarów, a to wszystko poczęło się w imię dobroczynności i wdzięczności.”

Coś słabo orientuje się p. Ike w historii. Nie w historii europejskiej, tego od niego nie wyragamy, ale w historii

własnej ojczyzny (bo przecież występuje jako stuprocentowy Jankes!). Nie wie, że tak Polsce jak i Francji Ameryka rewanżowała się. Napewno nie słyszał w życiu, że wzięły nasze z Ameryką datując się od dawniejszych lat, niż on pamięta. Nie wie, że Paderewski był znany Ameryce już wówczas, kiedy jeszcze nikt nie słyszał o b. Prez. Hooverze. Według p. Icka, Paderewski potrzebuje reklamy amerykańskiej. Przyjechał do Ameryki tylko po to, aby wywieźć do Europy dolary Wujka Sama.

Widocznie amerykański wyrób domowych talentów musiał na tem bardzo ucierpieć, skoro tak Mr. „Ike” żałuje tych dolarów. Może amerykańskie marzyńskie jazzbandy poniosły z tego powodu straty? Może to koncerty Paderewskiego wywołały ich bezrobocie?

Zapominają redaktorzy poczytnego *Saturday Evening Post* od ilu lat Ignacy Paderewski daje duże kwoty na rzecz amerykańskich stowarzyszeń dobroczynnych.

Czyżby Ameryka nie zasługiwała na odwiedzin prawdziwie wielkiego muzyka, a wystarczał jej król jazzu Paul Whitman?

Ale to nie Ameryka. To tylko Icek Ehrenfeld Hoover. W Polsce oni i za granicą oni.

W Ameryce aż roi się teraz od takich właśnie wrogów, którzy nam psują reputację. My za to opiekujemy się nimi troskliwie.

Ale do czasu dzban wode nosi. I Ameryka zaczyna się na nich poznawać i już nie kwapi się z braniem ich pod swe opiekuńcze skrzydła.

E. K.

DAJ GROSZ NA LOPP.

Konkwistador Franciszek Pizarro

Koniec wieku XV i początek XVI, to epoka wspaniałych triumfów cywilizacji chrześcijańsko - europejskiej na arenie wojów o panowanie nad światem, — to jeden ze szczytowych punktów ekspansji polityczno - militarnej i kulturalnej, religijnej i gospodarczej naszego europejskiego świata, ekspansji, zmierzającej do podboju przez ten świat, jego ducha i kulturę reszty „orbis terrarum“.

Ekspansja ta miała chwile podbojów, ale i chwile ciężkiej defensywy: były wyprawy Aleksandra Wielkiego w głąb Azji, ale była też bitwa pod Kannami i Hannibal „ante portas“, splonął wprawdzie Kartagina, ale azjatyckie hordy Attyli trątały winnice Kampanii, muzułmanie docierali od wschodu aż do bram Bizancjum, a od zachodu zdobywali Hiszpanię i dochodzili do Loary, kolonie zaś saraceńskie rozłożyły się i dłuższy czas istniały w niewielkiej odległości od państwa kościelnego, dziedzictwa następców św. Piotra.

I choć krzyżowcy zdobyli Jerozolimę i zwyciężyli wschód muzułmański pod Askalonem, choć czyny Ryszarda Lwie Serce i Cyda wślawiły imię „rumi“ (aryjskich chrześcijan) na całym wschodzie, — zagarnięta wnet została znowu Ziemia Święta, a niebawem półksiężyc stracił krzyż z kopuły kościoła św. Zofii w Konstantynopolu.

Jak widzimy więc, walka naszej (antycznej, a potem europejsko - chrześcijańskiej) cywilizacji o władzę nad światem różne przechodziła etapy, — najbardziej zaś triumfalnym i ośniewającym z pośród nich był okres odkrycia i zdobywania Nowego Świata, okres, w którym złotymi głoskami na wieki w księdze historii wyryte zostały nieśmiertelne imiona wielkiego Krzysztofa Cabzala, Vasco da Gamy, Alvareza Cabrała, Vasco Nunez Balbon, Juana Ponce de Leon, Amerigo Vespucci, Orellana i Magellana i wielu, wielu innych.

Obok tych jednak, co nowe odkrywali ziemie i bez trudu czynili je terenem ekspansji europejsko - chrześcijańskiej, politycznej, religijnej i gospodarczej, — istnieje grupa dobrze zasłużonych dla historii mężów, którzy w ciężkich zmaganiach się, z trudem wielkim i w obliczu strasznego niebezpieczeństwa, dając do rozmiarów fantastycznych niemal urastające swą nadzwyczajnością — dowody bohaterstwa, męstwa, przenikliwości politycznej i geniuszu wojennego, ale niestety i okrucieństwa, barbarzyństwa i chciwości niesłychanej, — zdobywali dla cywilizacji europejsko - chrześcijańskiej nie tereny dziewicze o ludności, w stanie pierwotnym niemal żyjącej, ale potężne i świetne państwa o wysokiej, oryginalnej kulturze, o imponującej organizacji państwowej i militarnej — państwa, godne rywalów naszej cywilizacji.

Toteż mężowie ci, którzy podboju państw tych dokonali, zasłużenie noszą skromną zdawałoby się, a jakże chlubną nazwę zdobywców - konkwistadorów (hiszp. — conquistadores; podbój — conquista). Do ich liczby w pierwszym rzędzie, obok Fernanda Corteza, zdobywcy Meksyku należy Franciszek Pizarro, który dla korony hiszpańskiej, a zarazem dla kultury europejskiej, dla religii katolickiej, zdobył potężne państwo Inkasów w Peru. Po kilkuletnich walkach, — ostatecznego podboju tego

kraju dokonał w roku 1534, t. j. równo 400 lat temu.

Franciszek Pizarro nie jest postacią tak interesującą i wszechstronną psychicznie, jak zdobywca Meksyku — Cortez. Dzieje podboju Peru również nie mogą równać się z historią „conquisty meksykańskiej“ pod względem bohaterstwa zaiste epickości przebiegu podboju państwa Azteków (w Meksyku), — epickości, obfitującej przecież w olbrzymią ilość wstrząsających momentów dramatycznych. Jako człowiek, jest Pizarro typem raczej zdecydowanie ujemnym: zarówno chciwość jego, jak i okrucieństwo (i to nie sadystyczne bynajmniej, ale z wyrachowania pływające) nie mają sobie równych w dziejach konkwistadorów. Jest więc to człowiek raczej zdecydowanie odrażający, — ale historia sędzi według wyników, — ten człowiek zaś zdobył dla naszej cywilizacji niezmierzone, w olbrzymie bogactwa obfitujące obszary państwa indyjskiego w Peru!

Najnowsze badania historyczne stanowczo odrzucają popularną dawnymi czasy tradycję o najniższym pochodzeniu zdobywcy Peru: miał on być synem świniopasa i sam w dzieciństwie pasał świnię, a gdy pewnego dnia zgubił jedną sztukę ze swej trzody, w obawie kary uciekł z domu i zaciągnął się na żołnierza. W rzeczywistości Pizarro był szlachcicem — był wszak krewnym Corteza (którego pochodzenie z wysokości, choć podupadłej, szlachty, nie ulega wątpliwości), — nie umiał jednak istotnie ani czytać ani pisać, czem znowu różni się od swego krewniaka — zdobywcy Meksyku, który jeżeli nawet i nie był licencjatem uniwersytetu w Salamance (nowsze badania odmawiają Cortezowi prawa do dyplomu naukowego), to w każdym razie jakiś czas na uniwersytecie tym studiował.

Pizarro służył jakiś czas w Nowym Świecie pod wodzą Vasco Nuneza Balboa (tego, który pierwszy z Europejczyków dotarł przesmykiem panam-

skim do oceanu Wielkiego), potem próbował szczęścia na własną rękę, płynąc na południe i dopływając do wspaniałego i bogatego miasta Tumbez. Musiał jednak wracać dwukrotnie bez żadnych realnych wyników, nie zniechęcał się jednak, przeciwnie przygotowywał się do nowych prób.

Pizarro zawarł spółkę z innym poszukiwaczem przygód i złota, imieniem Diego Almagro (również analfabeta) i księdzem de Luque, której to spółki celem miała być wspólna eksploatacja nowo zdobytych terenów. Ks. Luque poniósł największe koszty finansowe, Almagro też coś włożył, a Pizarro, nie posiadający nic, objął dowództwo wyprawy i podjął się dokonania zamierzonego dzieła. Po nieudaniu się pierwszej próby Pizarro wyjechał do Hiszpanji i przedstawił plan podboju Peru cesarzowi Karolowi V. (który jako Kadoł I. rządził i Hiszpanją).

Karol V, który nie wspierał nigdy z góry przedsięwzięć konkwistadorów, ale też się im nie sprzeciwiał, po szczęśliwym zaś przeprowadzeniu planu szczerze ich wynagradzał i zaszczytnie odznaczał, ciągnąc chętnie zyski z dokonanego przez nich dzieła, — nie dopomógł Pizarrowi realnie, ale przyklasnął jego projektom, nadał mu tytuł kapitana - generała i powierzył mu z góry rządy ziem, które podbije, z tytułem wice - króla Nowej Kastylji. Finansowo wspomógł Pizarra jego krewniak Cortez Wróciwszy do Nowego Świata — wyruszył niebawem Pizarro z Panamy wraz z Almagrem, 180 ludźmi, 37 końmi i kilku działami na 3 okrętach, ku południowi. Tym razem wyprawa się powiodła. Być może, że skutek jej byłby taki sam, jak i poprzednich, gdyby nie szczęśliwe sprzyjające okoliczności.

Państwo indyjskie w Peru, posiadające wysoką oryginalną acz dziwaczną urochę z naszego punktu widzenia cywilizacji, rządzone było w sposób absolutystyczny - teokratyczny przez kapłanów - monarchów z rodu Inków, pocho-

dzących według tradycji od założyciela państwa, — boga Manka Kapak. Właśnie w okresie najazdu Hiszpanów umarł król Inkas - Huayan Kapak i dwaj jego synowie: Huashar i Atahualpa wzięli walkę o tron. Hiszpanie korzystając z tej wojny domowej, umocnili się w mieście Tumbez, a ogłaszając siebie za sprzymierzeńców Atahualpy, poszli w głąb kraju, by „złożyć władcy wizytę i ofiarować swe usługi“.

Atahualpa tymczasem zwyciężył brata Huaskara i bardzo życzliwie powitał Hiszpanów w mieście Caxamalca, ze zdumieniem spoglądając na niewidziane nigdy dotąd konie i broń palną. Zachował się z dużą godnością (żołnierzy, którzy okazali strach na widok koni, kazał stracić), oświadczył jednak Pizarrowi, gdy ten mu wyłożył, że celem jego przybycia jest sholdowanie Peru dla Hiszpanji i zniesienie bałwochwalstwa, — że ma swoich bogów, których nie zdradzi dla ukrzyżowanego i że jest zbyt potężnym monarchą, by miał być czymś hołdownikiem.

Wszczął też dysputę religijną z ks. Valverda, w wyniku której doszło do ostrego starcia słownego między Inkasem a Hiszpanami, którzy, korzystając z tego pretekstu, urządzili krwawą rzeź wśród Peruwjańczyków, a samego Atahualpę traktować poczęli jako więźnia. Odtąd zaczęły się ciągle rzezie i łupieństwa, w Peru jednak (w przeciwieństwie do tego, co spotkało Corteza w Meksyku, choć czyny jego o całe niebo przewyższały pod względem humanitaryzmu wyczyny Pizarra) Hiszpanie nie spotkali się z żadnym oporem i wnet objęli kraj w posiadanie.

Pizarro założył swą rezydencję w Cuzco, a Almagro w Quito (dziś w Ekwadorze); — odległość między obu stolicami wynosiła 225 mil. Ciągłe zatałgi osobiste między nieugiętym Atahualpą a Pizarrem (np. pewnego razu, zachwycony europejskim systemem pisma, kazał sobie Inkas na paznokciu wypisać słowo Bóg (Dios); potem zwrócił się do Pizarra, by przeczytał, co jest napisane. Gdy okazało się, że wódz zdobywców nie umie czytać, Atahualpa począł nie ukrywać swej pogardy dla niego, Pizarro zaś odpłacał mu się nienawiścią) spowodowały skazanie przez Hiszpanów władcy Indian na śmierć, rzekomo za zamordowanie brata Huaskara. Skazanemu dano do zrozumienia, że może ocalić swe życie, składając okup, a mianowicie napelniając złotem pokój 5 m. długi, 7 m. szeroki (aż do powąły), srebrem zaś pokój mniejszy. Okup zebrano i złożono (około 4,500.000 dukatów), Hiszpanie jednak znaleźli nowy pretekst i uśmiercili Inkasa, zamieniając mu za przyjęcie chrześcijaństwa karę stosu na powieszenie. W listopadzie 1533 roku brat Atahualpy Manko Kapak koronował się w Cuzco, jako wasal Hiszpanji.

Niezadowolony z Cuzco i z jego zbyt oddalonego od morza położenia, wybudował Pizarro w roku 1534 nową stolicę, Ciudad de los Reyes, dziś zwaną Lima. Almagro tymczasem podbił Chili. Niebawem wybuchła walka między obu zdobywcami: Pizarro pokonał Almagra, uwięził go, a potem stracił. Przez lat 15 rządził Franciszek Pizarro Nową Kastylją samowładnie, topiąc kraj w morzu krwi i wyciskając zeń ogromne skarby, w roku 1541 jednak uknuto przeciw niemu spisek, na którego czele stał syn Almagra i zdobywca Peru padł w swym pałacu pod ciosami spiskowców, drogo sprzedając swe życie.

TEODOR PARNICKI.

Shaw pisze sztuki historyczne

Bernard Shaw, który skończył lat 78, nabrał na starość zamiłowania do podróży. W ostatnich czasach odbył podróż naokoło świata, a potem do Nowej Zelandji. Ale podczas tych wycieczek nie próżnował. Z pierwszej przywiózł sztukę „Wiejskie zaloty“, podczas drugiej napisał nawet aż trzy utwory dramatyczne. Gdy pytano go się o treść, odpowiadał negatywnie: Mam dosyć polityki. Ludzie, którzy sądzili, że będą dalej pisać „Wielkie kramy“ i „Na skałach“ doznają rozczarowania.

Jedna z nowych sztuk jest historyczna, nosi tytuł „Mieszczanie z Calais“ i osnuta jest na dramatycznym epizodzie z początków wojny stuletniej. We wrześniu r. 1346 Edward III obległ portowe miasto, które uważał za klucz Francji. Calais broniło się wytrwale, a im dłużej trwało obleżenie, tem srożej odgrzązał się król bohaterskim mieszczanom. Wreszcie w sierpniu następnego roku wyczerpały się zapasy żywności i miasto musiało kapitulować. Zapanowała rozpacz, bo obawiano się wyróżnienia całej ludności przez rozdrażnionych oporem zwycięzców.

Wówczas pięciu znakomitych mieszczan udało się ze stryczkami na szyjach

do angielskiego obozu i błagali Edwarda, aby zadowolili się ich życiem. Gniewny król chciał już ich kazać powiesić, gdy w sprawie wdała się jego żona Filipa z Hainault i wybłagała przebaczenie. Jest sławna rzeźba Rodin'a, przedstawiająca tych nieszczęsnych mieszczan. Zdobit ona brzeg Tamizy, a replika znajduje się w Calais. Być może, iż to dzieło sztuki zwróciło Shaw'owi uwagę na temat. Jest rzeczą charakterystyczną, że przerzucił się on obecnie do sztuk historycznych. Pozostaje to w związku z dokonywającą się zmianą upodobań publiczności angielskiej.

Co do dwóch dalszych utworów, Shaw odmówił informacji. Być może, iż mają one również tło historyczne. Są to sztuki dłuższe, wypełniające całe przedstawienie.

Jedną z atrakcyj Londynu są obecnie przedstawienia pod gołym niebem, urządzane w Regents Parku przez Sidney'a Carrola. Sezon letni zeszłego roku był jednym szeregiem tryumfów. Grano głównie Szekspira, ale obecnie mają wejść w skład repertuaru i sztuki współczesne. Shaw porozumiał się z Carrollem o wystawienie swego przedwojennego utworu „Androkles i lew“ oraz „Mieszczanie z Calais“.

A. E.

Dzikie zwierzęta futerkowe w hodowli

Skóry zwierzęce są dla człowieka od niepamiętnych czasów ważnym materiałem odzieżowym. Dla człowieka pierwotnego, jaskiniowego nie znającego sposobu użytkowania włókien roślinnych były one nawet jedynym odzieniem. Zwierzęta, z których skór uzyskuje się futra w niewielkim tylko procencie należą do zwierząt udomowionych. Większość ich — i to właśnie dostarczające futer najcenniejszych i najlepszych, — należy do zwierząt dzikich.

Skóry tych zwierząt zdobywano do ostatnich niemal lat ubiegłego stulecia wyłącznie na drodze łowiectwa. Kanada i Rosja były to kraje, w których najwięcej bito corocznie lisów, soboli i innych zwierząt futerkowych. Okazało się jednak, że tą drogą zapotrzebowanie na futra pokryć się nie da. Gdy bowiem popyt na nie stale wzrastał, to równocześnie w następstwie intensywnych polowań ilość zwierzyny zaczęła szybko maleć.

Trzeba było znaleźć inny, lepszy sposób zdobywania skórek. Zwrócono się do hodowli. Pierwszym obiektem stały się — bardzo w handlu futrzanym cenione — lisy srebrzyste, żyjące w Pn. Ameryce i wschodniej Syberji. W roku 1894 Dalton i Outen założyli na wyspach ks. Edwarda u ujścia rzeki św. Wawrzyńca pierwszą farmę tych zwierząt. Pokonawszy trudności uzyskali pomyślne wyniki, co zachęciło innych do podobnych prób i zakładania nowych farm. Powstawały one najpierw w Ameryce Pn., a od roku 1914 i w Europie.

Prócz lisów objęto hodowlą cały szereg innych zwierząt futerkowych. Dzięki zastosowaniu celowego doboru udało się uzyskać w hodowli lepsze gatunki futer niż ze zwierząt pozostających na swobodzie.

Dziś hodowla dzikich zwierząt futerkowych stanowi już poważną i rentowną gałąź produkcji zwierzęcej. Najlepiej rozwiniętą jest ona w Stanach Zjedn., Niemczech i Czechach. Od kilku lat istnieje ona też i w Polsce. Farmy hodowlane znajdują się na Pomorzu G. Śląsku, w Kieleckim, Warszawskim, na Wileńszczyźnie i Pomorzu. Zaznaczyć należy, że kraj nasz ma wszelkie dane, by tę gałąź gospodarki u siebie rozwinąć.

Dzikie zwierzęta futerkowe należą przeważnie do obu grup systematycznych: mięsożerców i gryzoni. Z pierwszej znajdują się w hodowli lisy, norki, skunksy, szopy, tchórze, wydry i borsuki, z drugiej: piżmaki, nutrie, synszyle. Poza tym hodowany jest w Ameryce opos, czyli dydelf, zbliżony do australijskiego kangura.

Z kilku gatunków lisów, dostarczających futer, w hodowli znajduje się — wspomniany już — lis srebrzysty (*Vulpes argentus*), oraz lis polarny (*Vulpes lagopus*), występujący w dwóch odmianach: białej i niebieskiej. Lisy te różnią się od naszych prawie tylko ubarwieniem sierści. Hoduje się je albo w dużych ogrodzeniach (14×6 m), w których urządzi się gniazda, lub też na półswobodzie tj. na większej przestrzeni gruntu z lasem. Pokarm mieszany: mięso, mleko, chleb, jaja, oraz jako źródło witamin tran. Hodowla lisów nie należy do łatwych; zwierzęta te ulegają łatwo chorobom. Z uwagi atoli na wysoką cenę ich skórek, poświęca się im wiele trudu. Istnieje już nawet cała literatura fachowa, odnosząca się do ich chowu.

W Polsce największa ferma lisów srebrzystych istnieje w powiecie brodnickim, nadleśnictwie Zbiczno.

Znacznie łatwiejszym jest chów norek kanadyjskich (*Mustela vison*). Zwierzę to, należące do łasicowatych, żyje w Ameryce Pn., występując tam w kilkunastu odmianach o różnej wartości futerek. Ubarwienie brunatne o różnych odcieniach, w zależności od rasy i sposobu żywienia. Karmi się norki rybami i mięsem, a trzyma je w niewielkich klatkach (2,5×1,5×0,6 m.). Hodowla ich podobnie jak lisów należy do b. rozpowszechnionych; od tych ostatnich są one znacznie odporniejsze. Futro norek nosi w handlu nazwę nurków.

Wielkiem uznaniem cieszą się wśród hodowców także skunksy, inaczej śmierdzielami zwane. (*Mephitis mephitis*). Nazwę ostatnią zawdzięczają te zwierzęta posiadaniu koła ogona gruczołów, produkujących obrzydliwą ciecz, którą podrażniony skunks, odwróciwszy się tyłem, oblewa swego wroga. By zabezpieczyć się przed nie milemi następstwami złego humoru skunksów, wycinają im hodowcy za młodu owe gruczoły. Skunksy chowają się łatwo, rzadko chorują, jedzą wszystko. Futra ich barwy czarnej z odcieniem brunatnym, o długim włosiu służą do wyrobu kołnierzy i jako uzupełnienia strojów damskich.

Łatwa jest również hodowla szopów (*Procyon lotor*). Szop jest to zwierzę zbliżone do niedźwiedzia, ale mniejsze, zamieszkujące obie Ameryki. Część życia spędza na drzewach, a część w wodzie, w której „z zapalem płucze każdą kęs swego pożywienia”. Stąd nazwa pracza. Występuje w kilku gatunkach. Najcenniejsze są szopy o futerkach barwy niebieskawo — popielatej. Szop oswaja się b. łatwo, do 1 go stopnia, że staje się niemal pokojowym zwierzęciem. Trzyma się szopy w ogrodzeniach

w obrębie których muszą być drzewa i woda bieżąca. Gniazdo umieszcza się na drzewie. Hodowla szopów z uwagi na odporność tych zwierząt na choroby i cenę futerek ma dużą przyszłość.

Prócz wyżej wymienionych gatunków zwierząt mięsożernych — hodowane także w Polsce — na małą skalę występują w hodowli borsuki, tchórze, kuny, sobole i gronostaje. Próbuje się też oswajać żbiki i rysie. Borsuka hoduje się od niewielu lat w Kanadzie. Nie jest to borsuk nasz, ale tzw. srebrzysty (*Toxidea americana*). Sobole (*Mustela zibellina*), zamieszkujące lasy syberyjskie próbuje się hodować w Rosji. Tchórze trzyma się przeważnie w Ameryce Pn. W Europie zajmowano się co prawda, ich hodowlą jeszcze w starożytności (Rzymianie), ale dla celów myśliwskich. Pewien gatunek tchórze, tzw. fretka, był używany do polowań na dzikie króliki. Dziś trzyma się tchórze w domach dla tępienia szczurów. Futra tchórze noszą nazwę „elków”. Hodowla kun, których skórki szczególnie jeśli chodzi o kunę leśną (*Mustela martes*), są dosyć drogie, jest dotąd, z powodu trudności otrzymania w niewoli potomstwa, w stadium początkowym.

Rząd gryzoni reprezentują w hodowli dwa głównie zwierzęta: szczur piżmowy, czyli piżmak (*Fiber zibethicus*) i nutria (*Mysopotamus coypu*), oba — jak większość hodowanych zwierząt futerkowych — pochodzenia amerykańskiego. Pierwszy podobny jest trochę do szczura, ale kilkakrotnie większy. Żyje na terenach bagnistych, buduje na wodzie domki, podobnie jak bóbr. W braku wody kopie gniazdo w ziemi. Hoduje się piżmaki albo na półswobodzie, dając im do dyspozycji jezioro lub bagno, albo też w klatkach z wodą bieżącą. Są bardzo płodne i szybka dorastają. Prócz futerka barwy ciemnej do czarnej (te najcenniejsze), lekkiego, de-

likatnego, ciepłego i b. trwałego dostarczają podobnie jak azjatycki piżmowiec (*Moschus*) do celów perfumeryjnych piżma. Futerkom piżmaka zwanym „bizam” imituje się często selskin, otrzymywany — jak wiadomo — z pewnego gatunku foki (*Otaria ursina*).

Nutrie, będące zwierzętami wodnymi, hodowano już dawniej z amatorsztwa. Dla celów „futerkowych” trzyma się je albo na swobodzie, albo w zagrodzeniach, a żywi pokarmem roślinnym (lucerna, okopowizna, ziarna zbóż). Futra nutryj mają w handlu tę samą nazwę i posiadają dużą wartość.

Piżmak i nutria hodowane są także w Polsce. Z innych gryzoni czynione są próby udomowienia świstaków i szynszyli. Szynszyl (*Eriomys lanigera*) jest to nieduże zwierzątko, podobne do królika, ale o krótkich uszach żyjące w górzystych okolicach Ameryki Pd. Tryb życia podobny jak naszego świstaka. Dostarcza futerek miękkich, barwy szaro-srebrzystej, wysoko w handlu cenionych. — Co się tyczy wreszcie oposów to hodowla ich istnieje od niewielu lat w Ameryce Pn. Zwierzęta te, o wyglądzie szczurów, barwy szaro-białej są nieruchliwe, przeważnie śpią zawieszane na drzewach. Futra mają gęste i puszyste. Większą wartość ma w handlu tylko odmiana o ubarwieniu czarnym i tę się hoduje. Istnieją także oposy australijskie, cenniejsze.

Jak z tego krótkiego przeglądu wiadać, hodowla dzikich zwierząt futerkowych objęła już znaczną ilość ich gatunków i ciągle robi dalsze postępy. Jest to objaw bardzo korzystny. Młoda bowiem gałąź produkcji odpowiednio postawiona może z jednej strony, stwarzając nowe źródła dochodu, wpłynąć dodatnio na bilans gospodarczy kraju, a z drugiej przez skierowanie człowieka ku hodowli przyczynić się do ograniczenia polowań, co z punktu widzenia ochrony przyrody byłoby także pożądanym.

M. K.

Chleb z epoki kamiennej

Wykopiska archeologiczne stanowią najbardziej autentyczny materiał, pozwalający nam zorientować się co do sposobu bytowania, obyczajów, kultury naszych przodków w zamierzchłych czasach.

Każde niemal nowe odkrycie archeologiczne narzuca jakieś nowe zagadnienie, otwiera nowe horyzonty... Badacze nie mogą zamknąć się w ciasnym kręgu pewnych specjalnych zainteresowań: budownictwa, kultu zmarłych, prymitywnej sztuki itp., lecz ogarniać muszą wszystkie dziedziny życia ludzkiego, by na podstawie tych badań móc odtworzyć możliwie wierny obraz przeszłości.

Jednym z takich zagadnień, któremu od niedawna stosunkowo poświęcono baczną uwagę, jest kwestia odżywiania się ludzi przedhistorycznych.

Kwestią tą zainteresował się między innymi niemiecki uczyony, prof. dr. Grüss dochodząc do bardzo ciekawych wyników. Dodać przytem trzeba, że dr. Grüss w pracy swej posługiwał się dużej mierze metodą chemiczną i mikroskopem, poddając badaniu drobne resztki żywności, znajdowane na ścianach urn, dzbanów, misek i podobnych naczyń, umieszczanych w przedhistorycznych grobowcach.

Tak oto na skorupkach naczyń z epoki kamiennej odkrył prof. Grüss jakiś

czarny osad. Po zeszkrobaniu tegoż poddano go działaniu ługu potasowego, chlorku i saletry, poczem wybieloną w ten sposób substancję badano pod mikroskopem. Wykazywała ona drobne łuski oraz dobrze stosunkowo zachowane ziarna, które prof. Grüss zdefiniował jako pewien gatunek pszenicy.

Znaleziono też drobnutkie ułamki węgla drzewnego. Gdy zaś cały ten osad pokrywał zewnętrzną stronę skorupy, zatem nietrudno było wyciągnąć jedyny logiczny wniosek, ugruntowany na stwierdzonych faktach: Garnek ów, pochodzący z epoki kamiennej, musiał stać na ogniu. Gotowano w nim z ziarna pszenicy jakąś zupę, która poprostu „wykipiała”, tworząc ów osad na zewnętrznej powierzchni naczyń.

Jeszcze ciekawszym jest wynik badań, przeprowadzonych przez prof. Grüssa w jesieni 1933 roku. W tym czasie odkopano w okolicy Stuttgartu przedhistoryczny grobowiec, w którym znajdował się szkielet ludzki oraz dwa okrągłe naczynia gliniane, napełnione stwardniałą, skamieniałą masą. Wnioskując z kształtu i sposobu obrobienia naczyń oraz z konstrukcji grobowca, wykopaliska te odnoszą się do epoki kamiennej, z czasów na 3 do 4 tysięcy lat przed Chrystusem.

Prof. Grüss zabrał się do badania tej przesłanej mu skamieniałej masy, z której odłupywał drobne kawałki,

poddając je następnie działaniu wody.

Wyptywające na powierzchnię wody lżejsze części badał prof. Grüss pod mikroskopem, — przyczem stwierdził obecność skrobki oraz licznych komórek drożdżowych. Co więcej, udało mu się znaleźć nawet resztki chleba, co prawda w minimalnej ilości. Konstrukcja tego chleba wskazywała niewątpliwie na to, iż najpierw poddawano go procesowi zakwaszenia na wolnym powietrzu, następnie zaś pieczono wprost nad ogniem.

Badania prof. Grüssa rzucają nowe światło na tryb życia ludzi z epoki kamiennej, — którzy, jak z badań tych wynika, znali już sposób wyrobu i pieczenia chleba, używając do tego ziarna pszenicy.

Poza tym zawierała skamieniała masa drobne ułamki orzechów laskowych bobu i siemienia lnianego, co by wskazywało, że tego rodzaju mieszaninę wstawiano w grobowce, jako pożywienie dla zmarłych. Pożywienie to zapewne już wkrótce po pochowaniu zmarłego padało ofiarą dzikich zwierząt i rozmaitych pasorzytów roślinnych i zwierzęcych, — ale i te drobne resztki, które dochowały się do naszych czasów, przedstawiają olbrzymią wartość dla badacza, uzbrojonego w cierpliwość, a wyposażonego w cały arsenał współczesnej nauki. (R.)

Klimat Huculszczyzny

Zanim opiszę w krótkości klimat Huculszczyzny, przedstawię w pobieżnym zarysu powody zmian klimatycznych, jakie zachodziły i zachodzą w dziejach ziemi.

Klimat ulega od czasów najdawniejszych okresów geologicznych różnym zmianom po dzień dzisiejszy. Oczywiście, zmiany te odbywają się w przeciągu bardzo długich okresów czasu, obecnie nie są widoczne dla oka ludzkiego. Jedynie jakieś potężne kataklizmy, zmieniające konfigurację jakiegoś odcinka skorupy ziemskiej, mogą spowodować tem radykalną zmianę klimatu.

Kwestja zmian klimatu posiada dla nauk przyrodniczych ogromne znaczenie, od niej bowiem zależy rozwój fauny i flory, czyli życia organicznego na ziemi.

To też obecnie jedynie ze skamielin zwierząt i roślin wnioskujemy, jaki klimat w danym okresie geologicznym panował.

Trudno przedstawić w szczyptach ramach artykułu dzieje klimatu w różnych okresach geologicznych, w każdym razie były one znaczne i przechodziły różne kolory przeobrażenia. Co jednak powodowało zmiany klimatu?

Badania wykazały że czynnikiem zmian klimatu, były zakłócenia równowagi skorupy ziemskiej, prowadzące do ruchów górotwórczych, np. klimat chłodny charakteryzował okresy bezpośredniego następujące po głównych fazach tworzenia się gór, zaś okresom spokoju skorupy ziemskiej towarzyszył klimat ciepły.

Niebywały rozrost lodowców, zaznaczający się po najmłodszej fazie górotwórczej w Alpach, wytworzył epokę lodową, która w wielkiej mierze wpłynęła na rzeźbę kontynentów, co również ma ogromne znaczenie powodujące zmianę klimatu.

Wyjaśnienie tych zmian klimatu, daje nam Ramsay w twierdzeniu, orzekającym, że zmiany klimatu, wypływają z czynników związanych z rozwojem ziemi. Wiadomą jest rzeczą, że im wyżej tem zimniej, czyli że w gromadzeniu ciepła słonecznego, główną rolę grają najniższe warstwy atmosfery.

W czasie więc wewnętrznego spokoju skorupy ziemskiej, najniższe warstwy atmosfery korzystają z energii cieplnej słońca w stopniu najwyższym i powodują klimat gorący. Inaczej się rzecz ma w okresie ruchów skorupy ziemskiej, — ruchów górotwórczych, kiedy to miejsca położone nisko zostają znacznie podwyższone, co wpływa na oziębnienie klimatu.

Wielki wpływ na zmianę klimatu posiadają góry lodowcowe spływające do oceanów, oraz cały szereg innych czynników, których nie sposób tu wymienić.

Specjalna gałąź nauki, wyłaniająca się z meteorologii — tj. klimatografia, przedstawia szerokie pole do badań, tak przyrodniczych jak i lekarskich, oddających już nieocenione usługi tak na polu dociekań przyrodniczych, jak i w lecznictwie.

Ostatnio coraz więcej uwagi poczynają lekarze zwracać na własności klimatyczne Wschodnich Karpat, a szczególności ich części objętej nazwą Huculszczyzny.

Huculszczyzna prócz wielkich wartości krajoznawczych i folklorystycznych — posiada również ogromne walory klimatyczno-lecznicze, co niejednokrotnie zostało ostatnimi czasy stwierdzone przez powagi lekarskie.

Piękna ta połać kraju polskiego, wysunięta na południowo-wschodnie granice państwa, stanowi część kompleksu górskiego Karpat Wschodnich, najbogatszego pod każdym względem. Konfiguracja Huculszczyzny przedstawia się w postaci podłużnych pasm górskich, ciągnących się z pn. zach. ku połd. wschodowi, poprzerzanych przełomami rzek i połączonych mniejszymi poprzecznymi wypustkami górskimi. Ze względu na budowę Huculszczyzny klimat tamtejszy podzielić mo-

my na cztery strefy, w zależności od wzniesienia się terenu ponad poziom morza.

Strefa pierwsza (przedgórska) przedstawia się w postaci pasa małych wzniesień nad poziom Pokucia, położonych w dolinach 270 do 400 m. n. p. m. Strefa druga (brzeżna) jest b. rozległą i obejmuje cały szereg dolin (zwłaszcza po stronie wschodniej) wznoszących się od 300 do 670 m. n. p. m. Obejmuje ona obszar od Jaworowa na Wschodzie po Jaremcze i Detyń na Zachodzie.

Strefa trzecia (śródkarpacka) dzieli się na dwa kompleksy: zachodni w dopływie źródeł Prutu i znacznie większy wschodni w dorzeczu Czeremoszu. Poziom dolin strefy śródkarpackiej waha się w granicach od 600 m. do wyż 800 m. n. p. m. Doliny strefy śródkarpackiej otoczone są od strony pn i pn. wschod. górami Beskidu Huculskiego i Karpatami Bukowińskimi, dzięki czemu doliny te znachodzą doskonałą osłonę przed wiatrami. Obszar trzeciej strefy obejmuje od zachodu Jabłońnię, Worochtę i Tatarów, ze wschodu zaś

Zabie, Krasnoili aż po Hryniawę.

Wreszcie strefa czwarta (górnokarpacka) najwyższa, obejmuje doliny od 800 m. do 1,000 m. n. p. m. Znachodzi się ona pomiędzy pasmami gór Czywczyńskich od pld. zach. i pasm Czarnohory od pld. wsch., oraz z południa Baby Ludowej i Skupowej, ciągnąc się prawie pod Worochtę, do szczytu Kukul.

Takby się przedstawiał mniej więcej podział Huculszczyzny na strefy klimatologiczne. Pozostałoby jeszcze omówić własności klimatyczne, każdej z poszczególnych tych stref.

Warunki klimatyczne strefy pierwszej — nadzwyczaj łagodne. Ciepłota bardzo wysoka. Dość duże wzniesienie ponad poziom morza, wpływa na złagodzenie wpływu kontynentalnych na klimat. Strefa druga i trzecia posiada naogół średnią ciepłotę roczną zbliżoną do wartości dla Wileńszczyzny, jednak pod względem ilości ciepłych dni, wykazuje ich znacznie więcej niż Wileńszczyzna. Klimat do-

skonały dla ludzi wyczerpanych nerwowo, przepracowanych i anemicznych.

Strefa czwarta wysokogórska, posiada również jak wykazały pomiary klimatologiczne wielkie wartości klimatyczne, dzięki silnemu promieniowaniu słońca tak w lecie jak w zimie. Ogólnie jednak biorąc pod uwagę cały klimat Huculszczyzny, widzimy, że jest on łagodny, o czem świadczą choćby zasięg lasów bukowych i świerkowych do wysokości 1500 m. n. p. m. Ogromne rozprzestrzenienie na Huculszczyźnie lasów liściastych i kusej olchy, wraz z kosodrzewiną, powoduje silny dostęp wiosennego słońca do ziemi, przyspieszającego tawienie śniegu w lasach i wcześniejszą ciepłą porę wiosenną.

Również charakterystyczną i dodatnią cechą klimatu na Huculszczyźnie, jest mała ilość opadów rocznych, oraz silne natężenie promieniowania słonecznego (promienie ultrafioletowe), spowodowanego suchością powietrza górskiego, zwłaszcza w porze zimowej. Wreszcie duża ilość wód leczniczych jak: solanki (niektóre z domieszką jodu), siarczanki i szczawy wapieniowo-magnezowe, w większości dotychczas nie wykorzystane, stawiają Huculszczyznę w rzędzie pierwszorzędných uzdrowisk świata.

T. K.

Radjo i jego twórcy

Utarło się już ogólnie zdanie, iż wynalazek telegrafu bez drutu czyli komunikacji radiotelegraficznej jest zasługą inżyniera włoskiego, W. Marconiego. Conajwyżej wspomina się jeszcze obok niego nazwisko H. Hertza, jako „ojca” radiotelegrafii.

W rzeczywistości sprawa przedstawia się inaczej. Złożył się na to cały szereg prac i badań, w których wybitny udział brali uczeni rozmaitych narodowości, posuwając się zmusznie, krok za krokiem, ku ostatecznemu zrealizowaniu swej myśli.

Zasługą Marconiego jest, iż on pierwszy — korzystając z przeprowadzonych przez jego poprzedników doświadczeń, znalazł praktyczne rozwiązanie całego zagadnienia. On był tym budowniczym, co położył ostatnią cegłę pod gmach, budowany cierpliwie od lat przeszło pięćdziesięciu.

Pierwszym zwiastunem i prekursorem nowej ery był fizyk niemiecki Karol Steinheil, który już w roku 1838 wystąpił ze śmiałą teorią, iż komunikacja telegraficzna odbywać się może bez drutu, przy odpowiednim uziemieniu. Wystąpienie to jednak przeszło bez echa, świat naukowy ówczesny tkwił uporczywie w uświęconym poglądzie, iż przenoszenie energii elektrycznej odbywać się może jedynie za pośrednictwem metali.

Zasadniczą zmianę tych poglądów spowodował dopiero uczeni angielski Michał Faraday (1791—1867), genialny samouk, który rozpoczynając swą karierę jako chłopiec do posyłek, własną, wytrwałą pracą, doszedł do katedry w słynnej „Royal Society” w Londynie. Jego praca o indukcji elektromagnetycznej posiada epokowe znaczenie dla elektrotechniki, torując nową drogę całej tej gałęzi wiedzy.

Zagadnieniem fal elektrycznych interesował się również uczeni niemiecki, lekarz, fizjolog, anatom, przyrodnik i fizyk w jednej osobie, Herman Helmholtz (1821—1894). On też pierwszy przepowiedział niejako odkrycie promieni Roentgena, wysuwając twierdzenie, że najkrótsze fale elektryczne posiadać będą zdolność przenikania materji.

Dalszym etapem na tej drodze były prace profesora uniwersytetu w Glasgowie, Williama Thomsona (1824—1907), który opracował i wyjaśnił naukowo

istotę indukcji elektrycznej, odkrytej przez Faradaya. Za prace swe i odkrycia otrzymał Thomson w r. 1892 tytuł szlachecki: lord Kelvin.

Prawdziwym „ojcem duchowym” radiotelegrafii nazwanym być może fizyk angielski James Clerk Maxwell (1831—1879). „Duchowym” dlatego, że przedwczesna śmierć wielkiego uczonego nie pozwoliła mu na praktyczne zastosowanie jego genialnej teorii, opublikowanej w r. 1873 w dziele „O elektryczności i magnetyzmie”. W dziele tem, drogą rozumowań matematycznych, dowiódł Maxwell, iż każde zakłócenie elektromagnetyczne rozchodzi się w ośrodku nieprzewodzącym na podobieństwo fali świetlnej i z jej szybkością.

Teoretyczne te wywody Maxwella znalazły wkrótce pełne poparcie w doświadczeniach przeprowadzonych przez niemieckiego fizyka Henryka Hertza (1857—1894), który zapomocą dość prymitywnych stosunkowo przyrządów i wynalezionej przez siebie tzw. „oscylatora” zdołał w pracowni swej wytwarzać fale elektromagnetyczne, nazywane też falami Hertza. Co więcej, stosując zwierciadła paraboliczne i rezonatory, zdołał zmierzyć długość tych fal (dochodząc do kilku metrów) i udowodnić, że podlegają one — podobnie jak fale świetlne — interferencji i polaryzacji. Hertz żył jednak zbyt krótko, by z doświadczeń swych i odkryć mógł wyciągnąć wnioski praktyczne.

Od chwili odkrycia Hertza uczeni całego świata rzucili się do dalszych doświadczeń w tym kierunku. Tak więc w r. 1890 uczeni francuski Branly buduje tzw. „Koherer”, aparat o wiele doskonalszy i bardziej czuły, niż rezonator Hertza. Mikołaj Tesla, Serb z pochodzenia, studiuje specjalnie prądy o wielkiej częstotliwości i wysokim napięciu, budując w Nowym Jorku swe słynne transformatory.

Pracują na tem polu Angliey: Oliwier Lodge, M. Preece, Right i Howard i wreszcie William Crookes (1832—1910) wstawiony swemi pracami nad promieniami katodowymi.

W roku 1895 profesor Pawłow z Petersburga buduje tzw. „sygnalizator burzy”. Była to już właściwie mała stacja radiowa odbiorcza, rejestrująca automatycznie zapomocą Koherera fale powstające podczas wyładowań elektrycznych w atmosferze.

Pierwsze teoretyczne prace na temat „uziemienia” są zasługą francuskiego prof. Ferrié, podczas gdy prof. niemiecki Slaby zaleca stosowanie anten celem wzmocnienia odbioru.

Tak więc zbiorowe, systematyczne wysiłki i prace uczonych całego świata przygotowały zupełnie grunt dla Marconiego, który z dziedziny teorii przeszedł śmiało na pole praktycznego zastosowania i wyzyskania wszystkich tych odkryć.

Rezultaty osiągnięte przez Marconiego, rezultaty wręcz zdumiewające, pchnęły uczonych do dalszych badań. — Wspomnieć się tu godzi o uczonym szwedzkim Paulsenie, jak również o Leo de Forest, wynalazcy lampy radiowej. I obecnie na tem polu pracuje cały długi szereg wynalazców, kierując swe zainteresowanie głównie na pole fal krótkich i telewizji.

Lucy

Święty węzeł

Prawowierni Hindusi układają włosy w „święty węzeł” na środku głowy. Jest on rodzajem publicznego wyznania wiary, a dotknięcie go przez kogoś obcego uchodzi za rodzaj świętokradztwa.

Niedawno wniesiono w Puri w prowincji Bikar-Oryssa jedyną w swoim rodzaju skargę sądową. Jeden Hindus oskarżył drugiego, że pociągnął go za włosy i tym sposobem „pokalał jego święty węzeł dotknięciem.”

Niedoszły nieboszczyk

W Standerton w Transvaalu mieszka niejaki p. A. J. Vellema. Ponieważ ojciec jego zmarł w r. 1903, licząc lat 65, Vellema wierzył silnie, że i on umrze w tym samym wieku.

Smutny tarmin miał nadejść przed paru miesiącami. Vellema oczekiwał go spokojnie i poczynił wszelkie przygotowania. Przedewszystkiem napisał hymn pogrzebowy, wyuczył chór dzieci szkolnych jego śpiewu, zamówił pozbawioną ozdób czarną trumnę w składzie i zgóry za nią zapłacił, pożegnał się wreszcie z przyjaciółmi i znajomymi, częścią ustnie częścią listownie.

Pragnął umrzeć sam. Zjedyz wczarzę, udał się na przeczadkę. Lecz zgon nadchodził. P. Vellema zmęczył się, więc osiadł na kamieniu i dalej cierpliwie oczekiwał anioła śmierci. Mijały godziny. Wschód słońca był cudowny. P. Vellema czuł się wciąż silnym i zdrowym.

Wreszcie sprzykrzyło mu się czekać. Wziął taksówkę i pojechał do domu. Naturalnie historia rozniósła się po mieście i wnet zjawili się — reporter. Zapytany, co będzie dalej robił, p. Vellema odpowiedział: „Nic mi nie pozostało — chyba dalej pisać wiersze”

Kolonizacja ziem wschodnich Rzpltej Polski

Akcja wzmocnienia polskości na kręśach wschodnich wszczęta przez nowopowstałe towarzystwo rozwoju ziem wschodnich, napędza radością każdego Polaka a przede wszystkim Kresowca, ożywia go promienną nadzieją, budzi w nim głęboką wdzięczność dla jej inicjatorów.

Program pracy w tym kierunku, — jak wiadomo z pracy codziennej — jest już w ogólnych zarysach skreślony. Każdemu więc Polakowi, któremu sprawa wzmocnienia żywiołu polskiego na Kresach leży na sercu, nie więcej niż pozostaje jak tylko wejść w szczegóły programu oraz wysiłki Towarzystwa poprzez moralnie i materialnie.

Ja ze swej strony, czując się zobowiązanym, pragnę dorzucić swe skromne słówko do toczącej się dyskusji na powyższy temat. Sądząc, że będzie rzeczą ciekawą i aktualną przypomnieć metody i sposoby jakich użyto w b. cesarstwie austriackim przy kolonizacji ziem b. Galicji.

Skreślając program kolonizacyjny b. Austrii, mam przed sobą kronikę parafji rzymsko-kat. Wiesenberga — kolonii niemieckiej w powiecie żółkiewskim, spisana w języku niemieckim w 1828 przez ówczesnego kapłana Antoniego Kopietza. Kronika obejmuje okres czasu od r. 1781 do 1828.

Sprawa kolonizacji przedstawiała się w sposób następujący: Cesarz Józef II. kierując się względami politycznymi, w r. 1781 sprowadził do b. Galicji tysiące rodzin niemieckich na koszt publiczny. Czasowo rozmieszcza się je po miastach, zanim przystępuje się dla nich odpowiednie tereny i mieszkania.

Wytoczono dwie ulice: — Przy ulicach przecinających się na krzyż — oddzielono parcele budowlane; wzniesiono materiały budowlane, wzniesiono domy mieszkalne wraz z zabudowaniami, — wszystko na koszt publiczny.

W ten sposób powstała cała sieć kolonii w b. Galicji pomiędzy niemi powstała i kolonia Wiesenberg na gruntach należących do komisarjatu kameralnego w Mierzwicy pow. Żółkiew.

W Wiesenbergu wybudowano 46 domostw — przydzielając do każdego po kilkadziesiąt morgów gruntu, — płatnego normalnie tylko w połowie, — w drugiej połowie zaś po bardzo niskich cenach. Każdy gospodarz otrzymał bezpłatnie: dom mieszkalny wraz z zabudowaniami, parę koni z wozem, dwie krowy, nasiona, oraz najpotrzebniejsze narzędzia rolnicze. Celem podtrzymania ducha narodowego i religijnego, cesarz swym dekretem nakazał, aby każda kolonia miała własny kościół i własną szkołę, choćby nawet kościół czy szkoła znajdowała się w pobliżu dla ludności tubylczej. I istotnie od razu wybudowano kapliczkę — plebanję — odpowiednio uposażoną szkołę a w końcu i czytelną ludową.

Kolonia w ten sposób zorganizowana dalej już sama się rozwijała.

Tak mniej więcej w szczegółach przedstawiał się program kolonizacyjny w b. Galicji.

W całym zaś sposobie przeprowadzenia tegoż programu przejawia się myśl osadzenia kolonistów na stałe, oraz podtrzymania ducha narodowego i religijnego.

Myśl powyższa sprawia, że zanim sprowadzi się rodziny na miejsce, — wznosi się domy i zabudowania gospodarskie, — przydziela się inwentarz żywy i martwy, — aby przybyła kolonista czuła się na nowej placówce jak w rodzinnej wsi. Bieda — brak domu, inwentarza, nie nasuwa im myśli powrotu w rodzinne strony.

Myśl powyższa, podtrzymania ducha narodowego i religijnego, stwarza od razu większe skupienia nowoprzybyłej ludności — zwarte w sobie, a nie „farmy“ rozrzucone po polach zdala od siebie; buduje się kościół plebanję — dostatnio uposażo-

na, aby przyszedł ksiądz całym sercem mógł się oddać na ich usługi; buduje się wreszcie szkołę, a w końcu czytelną ludową.

Plan kolonizacyjny austriacki prze-trwał próbę 153 lat i okazał się w skutkach mądry i wspaniały. Koloniści żyją dziś dostatnio, choć liczba rodzin zwiększyła się kilkakrotnie, przebywając w ob-czym kraju, mówią i religję swoich przodków. Na polu zaś społecznym i gospodarczym

silnie się zorganizowali.

Dlatego sądząc, że przy dzisiejszej kolonizacji ziem wschodnich, wydałoby się rzeczą korzystną preszczepić na nasz teren przynajmniej niektóre punkty programu kolonizacyjnego w b. Austrii.

Lecz obok sprawy kolonizacyjnej jest rzecz może jeszcze ważniejsza, sprawa zachowania dla narodu i obrzędów ludności polskiej tubylczej. Rzecz to skomplikowana, dlatego wymaga głębokiego i szerokiego omówienia. Sądząc więc, że do lep-

szego wyjaśnienia tej sprawy oraz wyszukania odpowiednich środków zaradczych, może się w wielkiej mierze przyczynić szersza dyskusja na łamach prasy w występkach ugrupowań i politycznych, w której zabraliby głos przedewszystkiem księża, działacze zasłużonego T.S.L. oraz przedstawiciele innych organizacji — czynnych na terenie ziem wschodnich.

Ks. Wincenty Tarnogrodzki.

Procesje po wodzie

W północnych Włoszech, nieco na uboczu szlaków turystycznych, leży niewielkie stosunkowo jezioro d'Orta, zwane też „Lago Cusio“, do którego rzadko docierają turyści z nad pobliskiego „Lago Maggiore“.

Leżące nad brzegiem tego jeziora miasteczko Orta nie posiada też żadnych osobliwości, poza ślicznymi widokami na okoliczne góry i na lazurową toń spokojnej wody. Natomiast dużą sławą wśród ludności miejscowej i okolicznej cieszy się mała wysepka położona w środku jeziora „Isola San Giulio“. Według legendy założył tam i zbudował kościół św. Juljusz, około roku 390 po Chr., kiedy przybył z Grecji celem nawracania mieszkańców na wiarę Chrystusową. W kościele, kilkakrotnie odnawianym, liczne płaskorzeźby i malowidła przedstawiają rozmaite epizody z życia świętego, który też spoczywa tu w krypcie pod ołtarzem głównym, w srebrnej trumnie.

Do tego grobu i tego kościoła odbywają się z Orta kilka razy do roku uroczyste procesje, z których najwspanialsza przypada na dzień 31 stycznia. Procesje zaiste niezwykle: Od brzegów jeziora kieruje się długi sznur rozmaitych łodzi i barek, wśród pobożnych śpiewów, wśród bicia dzwonów dolatującego z kościoła. A na łodziach widnieją święte obrazy i figury, — podczas gdy na największej łodzi wyciąga swe ramiona wielki Krzyż z postacią Zbawiciela.

W procesjach tych biorą udział księża w strojach liturgicznych, członkowie rozmaitych bractw i kongregacji, oraz tłumy mieszkańców. Że zaś cała wysepka zajmuje przestrzeń bardzo wielką, — zatem z konieczności cała procesja odbywa się na wodach jeziora, sprawiając tem silniejsze wrażenie.

Podobne procesje odbywają się też corocznie w Bari, gdzie w obrębie postu obnosi się uroczyste statue św. Mikołaja, — oraz w Grado.

Zupełnie inny charakter ma uroczysta procesja, urządzana co roku dnia 24 maja w małej wiosce francuskiej „Sainte Marie de la Mer“, leżącej u ujścia Rodanu.

Na procesję tę zjeżdżają się z całej Francji wierni, rekrutujący się wyłącznie spośród... cyganów. Bo w Sainte Marie de la Mer, w małej kapliczce, przypominającej z wyglądu raczej jakąś średniowieczną fortecę, przechowywane są najdroższe dla nich relikwie. Tutaj to — jak głosi legenda — w tem samym miejscu, gdzie dziś wznosi się kaplica, wylądowały ongi święte Marja - Jacobé i Marja Salomé, siostra i siostrzenica N. M. Panny, tutaj znalazły schronienie wśród nadmorskich rybaków.

Towarzyszyła im wierna czarna służebnica Sara, którą cyganie wybrali sobie za szczególną swą patronkę. I dlatego co roku zjeżdżają się tu na koniach i wózkach z najdalszych zakątków Francji, by ujrzeć święte relikwie.

pomodlić się i uzyskać błogosławieństwo.

Uroczystość rozpoczyna się mszą świętą, odprowadzającą o północy. Naza-jutrz rano wyrusza procesja ze świętymi relikwiami nad brzeg morza. Honorową eskortę stanowi grupa Cyganów na białych koniach. W miarę zbliżania się procesji do brzegów morza tłum wzrasta: przyłączają się do niej rybacy z całej okolicy, czekając na kulminacyjny punkt całej uroczystości: błogosławienie morza, tego morza co ich żywi, co jest ich przyjacielem i wrogiem.

Na dużej łodzi, bogato przystrojonej, wypływa ksiądz celebrujący procesję, na morze. Asystują mu Cygani na koniach, wjeżdżają na nich daleko w morze; każdy z nich trzyma w ręku długą pike.

Wśród ogólnego skupienia i nabożnej ciszy padają z ust kapłana uświęcone formułki błogosławieństwa morza i zebranych, — poczem procesja wraca do kapliczki.

Reszta dnia poświęcona jest zabawie, muzyce, tańcom. Cały lud cygański bawi się wesoło, korzystając z tej wyjątkowej, raz do roku nadarżającej się okazji. A starsi radzą, układają plany, udzielają wskazówek... Do późnej nocy całe wybrzeże rozbrzmiewa gwarem rozmów, śpiewem i muzyką. Wreszcie wszystko zwolna ucicha... cyganie rozjeżdżają się na wszystkie strony, wracając do swego „cygańskiego życia“...

(kr.)

Nowości z przyrody i techniki

Zawartość jodu w jarzynach. Jak wykazały badania, można przez odpowiednie nawożenie podnieść bardzo znacznie zawartość jodu w jarzynach, przyczem przyrost ten występuje najsilniej w liściach i łodygach, podczas gdy w kwiatach i owocach jest on bardzo nieznaczny.

Tak np. liście szpinaku, zawierające normalnie 880 tysięcznych miligramów jodu na 1 kg. suchej substancji, zawierają po nawożeniu roślin solami jodu 2 i pół miligramów jodu na 1 kg. suchej substancji. W rachubę wchodzi tu zatem przede-wszystkiem jarzyny takie jak szczaw, szpinak, szparagi.

Doświadczenia te ważne są zwłaszcza dla okolic, w których z powodu braku jodu ludność zapada często na chorobę wola.

Jadowne ćmy. We francuskiej Gujanie istnieje pewien gatunek ćmy, zwany Hy-lasja, stanowiącej prawdziwy postrach krajowców. Cma ta, wielkości 2 cm. ma cały odwłok pokryty mikroskopijnymi twardymi włoskami, których dotknięcie powoduje gwałtowne swędzenie oraz powstanie rozległych, bolesnych pęcherzy. Choroba ta, zwana „papillonitis“, nie została dotychczas dokładnie zbadana.

Znikanie trawy morskiej. Jak wynika z obserwacji przeprowadzonych przez angielskiego uczonego dr. A. Cottoma, — od dłuższego czasu daje się zauważyć stopniowe znikanie trawy morskiej (Zostera marina) na wodach Atlantyku. Szczególnie wybitnie występuje to zjawisko u półwyspu Anglii, gdzie poprzednio trawa morska rosła bardzo bujnie, obecnie zaś prawie zupełnie zanikła.

Zjawisko to, którego powodów dotąd nie udało się wykryć, wywołuje pewne zaniepokojenie z rozmaitych względów. Trawa morska bowiem stanowi pożywnie-nie liczne ptactwa morskiego.

Pozatem, dzięki swym długim, spleta-nym łodygom daje ona oparcie ławicom piaszkowym, utrudniając podmycie ich przez fale i prądy podmorskie.

Sprzymierzenie człowieka w walce ze szarańczą. O ile wnoszą młoda z wiadomości nadeszłych z Argentyny, farmerzy tamtejsi znaleźli małego, ale nieocenionego sprzymierzeńca w walce z szarańczą, tą straszną plagą rolnika.

Jest nim pewien gatunek małej osy, która składa swe jajka w ciełe szarańczy, a to w miejscu, gdzie tułów łączy się z głową. Z jajek tych rozwijają się małe, leńkie gąsienice, które poprostu szarań-

czę „żywem zjadają“. Obecnie są w toku badania co do sztucznej hodowli na wielką skalę tych pożytecznych pasożytów, siejących wśród szarańczy prawdziwe spustoszenie.

Najczulszy hygrometr. Mierzenie wilgoci powietrza przeprowadza się dziś nie-tylko w naukowych obserwacjach, lecz i w licznych zakładach fabrycznych itp. przedsiębiorstwach. Znakomitym materia-lem do tego celu okazał się cellofan (cieniutkie nitki celulozy, nasycone gliceryną). Nitki te kurczą się w suchym powietrzu, a rozciągają w wilgoci. Właściwość tę wykorzystano, budując specjalne hygrometry, zaopatrzone w podziałkę i wskazówki. Paszek cellofany, długości 3 mtr. a szerokości na 4 cm., reagował na wahanie wilgotności powietrza w granicach 1 proc., powodując przesunięcia wskazówki o 5 cm.

Również można zmianę stopnia wilgotności określać optycznie, zanurzając li-stek cellofanu w pewnym roztworze soli kobaltowej. W suchym powietrzu przy-biera on barwę niebieską, przechodząc stopniowo, w miarę wzrostu wilgotności, w kolor czerwony.

